Orłowski A. Mistrz jazdy

Antoni Orłowski (Krogulec).

MISTRZ JAZDY

na powiat Capowski.

Powieść rymowana.

WARSZAWA.
Nakładem Drukarni Fr. Karpińskiego.

1898.

Cena 30 kop.

Mistrz Jazdy na powiat Capowski.

Antoni Orłowski (Krogulec).

Mistrz Jazdy

NA POWIAT CAPOWSKI.

Powieść rymowana.



WARSZAWA.
Nakładem Drukarni Fr. Karpińskiego.
1898.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Іюля 1898 года.

I.

Pierwszy cyklista i pierwsze przejechane dziecko.

Capów—miasteczko nieciekawe,
  Łąki wokoło ma i bagna;
Na łąkach krowy skubią trawę,
  Przy nich flirtuje z Wojtkiem Jagna,
Klnie w pień turysta taką sprawę,
  Która go w owe strony zagna
I jak zabobon od widm jędzy,
  Zmyka z Capowa conajprędzej.

Ongi miał Capów sławne dzieje,
  Sejmy i zjazdy, pełne ścisku,
Krwawe przechodził też koleje,
  Nie trwożył się karabel błysku
I—(lud się dzisiaj z tego śmieje)—
  Dyabeł tam w starem żył zamczysku.
Dziś—dyabeł zniknął z zamku celi
  I sejmy także dyabli wzięli.

Etnograficznie biorąc rzeczy,
  Zda się, że Capów w Palestynie,
Judaizm bowiem ma w swej pieczy
  I z obfitości żydów słynie,

Jakgdyby inny ród człowieczy,
  Zginął—i byli ci jedynie.
Tam wszędzie żyd za żydem idzie
  I wszędzie siedzi żyd na żydzie.

Chrześcijan tam nieliczna garstka,
  Wszyscy winciarze zawołani—
I hart do duszy im nie Mars tka,
  Nie jemu życie niosą w dani:
Piją jak smoki, nie z naparstka,
  Bachusa wierni ci poddani,
Wszelaki napój jest im miły,
  Bo twierdzą, że to daje siły.

Mieszkańcy miasta długowieczni,
  Jak żubry w dzikim gdzieś ostępie,
Ultramontanie przytem wsteczni
  I nie chcą słyszeć o postępie.
Choć w świecie coraz dziś słoneczniej,
  Im ciemno, jak na leśnej kępie.
Nie dziw, że w Kosmie tam, ni Dyzmie
  Myśl nie postala o cyklizmie.

Było to—nie wiem, w którym roku,
  Lecz data was nie zaciekawia.
Słońce wyjrzało z za obłoku,
  Pierwsze wiosenne kroki stawia;
Pod promieniami jego wzroku
  Garstka dzieciaków się zabawia,
W grząskiem wiosennem grzebiąc błocie,
  Jakby tam chciała znaleźć krocie.

Na rynku stoi tłum brodaty,
  Gawędzi, tonąc w fajek dymie,

Ich staropolskie długie szaty,
W ogromnej u nich są estymie
(Dzisiaj się one zwą chałaty,
Dawniej nosiły inne imię)
I tak się zrosły z rzeszą burą,
Że się już dla niej stały skórą.

Gawęda tłumu ożywiona,
Rozmowa bowiem o jarmarku,
Żywiej pod szatą drgają łona,
Głowy ruszają się na karku;
I żaden z tego ludzi grona
Nie liczy minut na zegarku,
Ale to, ile rubli w kiesie
Ów bliski jarmark mu przyniesie.

Nagle krzyk powstał w końcu miasta,
Pod rogatkami, obok krzyża;
Krzyk coraz wzmaga się i wzrasta
I ku rynkowi coraz zbliża,
Wreszcie, jak żmija ogoniasta,
Sunie żydziaków zgraja chyża,
Od nich zaś niby, chart ucieka
Jakiś człek—raczej cień człowieka.

Cień—bo zziajany ledwo dyszy,
Lecz wciąż zdobywa w nogach wenę,
A po za sobą krzyki słyszy:
„Gewałt!. rozbójnik!. myszygene!.“
Tłum, co mu z wrzaskiem towarzyszy,
Rad, że niezwykłą znalazł scenę,
Huczy i wrzeszczy coraz wścieklej,
Jak gdyby go żelazem piekli.

Cień ów, ubrany dość dziwacznie,
W kurtkę i krótkie hajdawery;
Ten, ów przygląda mu się bacznie,
Bada na wszystkie strony cztery—.
„Wus is das?“—jeden mówić zacznie,
„Der Tajfeł!“—nawet słychać szmery,
W Capowie bowiem—oczywista—
Nie wiedział nikt, że to cyklista.

Tłum strojny szatą staroświecką
Już się przyłączył do gromady,
Mową półdziką, półniemiecką,
Zabrzmiały wnioski albo rady—
„Rabuś! to un przejechał dziecko!..“
Krzyknął żyd jakiś, z gniewu blady—
„Po co un tutaj do nas goni
Na te maszyne, co bez koni!.“

Biedny cyklista drżał, jak listek,
Rozdarła-by go zgraja dzika,
Szczęściem, że tłum ów gwarny wszystek,
Przerwał głęboki sen strażnika.
Mąż ten poważny, a nie chłystek,
Drzemał u domu narożnika—
Zbudzony nagle ze snu swego,
Zapytał groźnie: „cóż takiego!?“

Wnet Izraela miła dziatwa
Chórem zaczęła opowieści;
Słowa' przekręca, plącze, gmatwa,
Trudno połapać się w ich treści—
Lecz dla strażnika rzecz to łatwa,
Pojął, gdzie tutaj sens się mieści:

Niczego gadać!. Niech pan rusza,
  Pójdziecie ze mną do ratusza!“

Przemowa w stylu nienajczystsza,
  I treść jej była nazbyt sucha,
Lecz do cyklowej jazdy mistrza
  Wpłynęła radość i otucha
„Gdy stanę—myślał—u burmistrza,
  Przecież ten człowiek mnie wysłucha!“
Stanąwszy—pewien swego święcie,
  Rzekł zaraz: „panie prezydencie...“

„Ptaszku! wykrzyknął burmistrz w złości—
  Na rzewnej mowy głos nie czuły—
Myśmy w Capowie ludzie prości,
  Nie damy brać się na tytuły—
Papieru mamy w obfitości,
  Zaraz spiszemy protokuły,
Tymczasem rączki mu w powrozy!
  Bębenek!.. prowadź go do kozy!..“

„Panie!.. rzekł mistrz z cichym szelestem:
  Swej łaskawości popuść wodze—
Ja nie rozbójnik, przecież jestem,
  Jadąc wstąpiłem tu po drodze...“
„Bębenek, prowadź! z groźnym gestem
  Wykrzyknął władca, gniewny srodze.
Próżno mistrz klnie się, żali, miota,
  Zamknięto za nim kozy wrota.

II.

Z kozy do miłości tylko jeden krok.

Jan Turystowicz, nasz bohater,
Znalazł się raptem w ciemnej celi,
Wrzał gniewem, jak Wulkanu krater,
Co lada chwili ogniem strzeli;
Oburzał go ten miasta Pater
I ci, co go do kozy wzięli,
Lecz wciąż pomimo strasznej złości
Miotał się tylko w bezsilności.

Gniewały ściany go kazamat,
Drewniane nary vulgo sofa,
Na cały ten capowski dramat
Padła niejedna przekleństw strofa.
Aż gniewu z żalem amalgamat
Zmienił na spokój filozofa,
Jak dziecię, gdy pojmować zacznie,
Zaczął się patrzeć wkoło bacznie.

Patrząc przez gęstą kozy kratę,
Ujrzał dziw wielki naprzeciwko:
Strojna w domową skromną szatę,
Siedziała w oknie panna z grzywką;

Wskazały sploty jej bogate,
  Że nie jest Surą ani Rywką,
Robiąc robótkę, czasem boczkiem
  Zerkała miłem modrem oczkiem.

Jan Turystowicz lubił kwiatki
  Z miluchną buzią, szyk figurką,
Nie gardził, jako chłopiec gładki,
  Żadną miłosną awanturką,
Pogładził, gotów na wypadki,
  Wąs delikatny swój, jak piórko,
I pannie, chociaż mu nieznana,
  Posłał wnet uśmiech Donżuana.

Nie rozgniewała się panienka,
  Lecz odśmiechnęła mu się mile;
Panna miłości się nie lęka,
  Gdy wie o wdzięków swoich sile—
W Capowie młodzież toż to męka,
  Istne czyżyki, dudki, gile
A ten (po akcyi znać to czynnej)
  Musi być od nich całkiem inny.

Robótka wnet spoczęła w kącie,
  Kres pracowitej nastał sjesty,
Panna stanęła już na froncie,
  Mknęły ku kozie miłe gesty,
A jak zaś patrzył Jaś na Broncię,
  Och! tego żadne anapesty,
Ni jamby, znane w dawnym Rzymie,
  Nie ujmą w swoim gładkim rymie.

Nagle frunęła, niby ptaszę,
  Jaką myśl miała—któż odgadnie?

Jak człek, co wypił wina czaszę,
  A rumbarbarum znalazł na dnie,
Tak Jaś (wszak znane plemię nasze)
  Zbladł i wykrzywił się nieładnie,
Przeszyty wielką żalu zgrozą
  Po Dulcynei tej z Toboso.

A wtem drzwi celi odemknięto
  I Jaś odskoczył, pełen zgrozy;
Wkroczyl tam z miną uśmiechniętą
  Bębenek, co go wiódł do kozy.
Krzyknął Jaś z mocą niepojętą:
  „Nie dam skrępować się w powrozy!
Przed sądem wszystkich was postawię!
  To gwałt nikczemny!.. to bezprawie!..“

„Niechaj no panicz się nie stracha
  I po próżnicy się nie szasta!
Oto jest tutaj wina flacha,
  Mięso, owoce są i ciasta;
Niech panicz wszystko w gardło macha,
  Popije winem—no i basta!
A gdy pan wróci, z kozy puści—
  Panienka rzekła tak... a juści!..“

„Panienka!... ona dobra taka!..“
  Wyszeptał Jasio w myśli czule,—
I radość weszła w pierś chłopaka,
  A ustąpiły wszystkie bóle:
Dajcie mi tutaj tego ptaka,
  Niechaj do serca go przytulę!..“
Lecz nim mógł spełnić te marzenia,
  Wziął się tymczasem do jedzenia.

Zanim pokrzepić zdążył siły,
Pan burmistrz wtoczył się, jak kula;
Na twarzy jego uśmiech miły
Dobrodusznością swą rozczula,
Znać, że pantofel do mogiły,
Po którym żona, jak chce hula—
Wszedł i przy miłym oczu błysku
Podał dłoń swoją do uścisku.

Rzekł potem: „panie dobrodzieju!..
Wybacz mi.. tego.. to zdarzenie..
Córka ma w głowie dość oleju,
Spostrzegła nieporozumienie..
Bębenek!. ośle i złodzieju!.
Przynieś tu wody i odzienie!..
Niech pan umyje się, przebierze,
A potem proszę na wieczerzę.“

„O panie, czem ci się odwdzięczę
Za taką dobroć z twojej strony!..“
Patrząc w burmistrza tak jak w tęczę,
Rzekł Turystowicz rozczulony.
„Jeśli mą prośbą cię nie zmęczę,—
Rzekł tamten znów rzewnymi tony—
Opowiedz mi przy winnym płynie
O tej cudacznej twej maszynie“.

III.

Zdrowy sport zagląda do Capowa.

„Rower—Jaś wyrzekł—po kolacji—
Maszyna albo koń stalowy,
To wynalazek, pełen racji,
I już dla wielu dziś nie nowy;
To piękny kwiat cywilizacji,
Który rozkrzewił postęp zdrowy,
A z niego rosną, jak łodygi
Cykliści zdrowi niby frygi.

„Z trzech części żadna nie jest zerem,
Z których się rower składa cały:
Ważną jest rama wraz ze sterem,
Ważnemi koła i pedały.
By jeździec nie był zaś psów żerem,
Siodło być winno siły trwałej
I nosić, jako swą ozdobę
Jeźdźca, uniform i osobę.

„Nikt mi tu z panów nie zaprzeczy,
Że rower lepszy od konika:
Obroku, ani żadnych rzeczy
Nie je,—nie fika ani bryka,

I nie wymaga takiej pieczy,
Nie narowi się, nie potyka.
Na drogach niby wicher goni,
Niczem jest przy nim para koni.

„Ażeby jeździć na rowerze,
Nie będąc ladajakim chłystkiem,
Wyznam Szanownym Panom szczerze,
Trzeba mieć rower przedewszystkiem,
Potem szpicrutę w dłoń się bierze,
Latarkę z dzwonkiem lub ze świstkiem
I mając wolny świat na przedzie,
Na rower siada się i—jedzie!“

„Jadę natychmiast! niech mnie djabli!.“
Krzyknął otyły pan Barnaba.
Grzmotnąwszy pięścią, rozlał Chabli,
(Była to bowiem pięść nie słaba)
Wszyscy ze śmiechu aż osłabli,
Patrząc na zapał ten „nababa“,
(„Nababem“ zwan był w okolicy
Pan ten, posiadacz kamienicy).

„I ja!“—wychudły niby szczapa,
Krzyknął z zapałem imć pan Michał,
Człek pospolicie zwany „gapa“,
Bo go małżonki bat popychał,
Kilku przekwitłych córek papa,
Do których z młodych nikt nie wzdychał
„I ja się piszę w ową chryję,
A może jeżdżąc wciąż—utyję!“

Ledwo wymówił owo zdanie,
Zwrócił spojrzenie w inną stronę;

Wzrok jego padł pomiędzy panie,
  Wśród których dojrzał swoją żonę,
Przeczuł w jej wzroku wyraz: „łanie“,
  Więc spuścił oczy przerażone,
Zamilkł, zmięszał się wnet i stropił
  I nos w talerzu swym utopił.

Tumult się zaczął, ci i owi
  Krzyczą: „kupimy sobie cykle!..“
„Lepiej w świat pędzić—ktoś tam powie,
  Niż żyć wciąż w miejscu blado, nikle;
W tej wrzawie panu rejentowi
  Na głowę ktoś wysypał pikle,
(Szczypią ofiarę złego losu
  Krople ostrego z pikli sosu).

W tem pan dependent od rejenta
  „Proszę o głos!.“ donośnie woła,
Postać to trochę już przygięta,
  Trochę już zwiędła, lecz wesoła.
Lubią capowskie go dziewczęta,
  Znacznie mniej młodych mężczyzn koła,
Bo widzi Capów w tym chłopczyku
  Wzór dobrych manier oraz szyku..

„Proszę o głos więc!—rzekł pan Idzi
  (Bo takie na chrzcie dostał imię)
„Panowie moi!. czyśmy żydzi,
  Albo też głodne wilki w zimie!
Człek dobrych manier wszak się brzydzi
  Hałasy robić tak olbrzymie!
Rzecz wyświetlimy należycie,
  Ja zacznę mówić... pozwolicie?“

„Proszę!.“ krzyknęło głosów parę,
Potem: „prosimy!.“ powtórzono;
Jedni krzyczeli sobie w miarę,
Trochę zanadto inne grono;
Aż w kimś tradycje dziejów stare
Odżyły z siłą niezwalczoną
I za ich radą i podnietą
Wykrzyknął głośno: „a ja v e t o!.“

Znów gwałt się zaczął—bo bez gwałtu
Nie ma podobno u nas narad—
Takiego wszystkie sesje kształtu,
Choćby zawiłych brakło szarad—
Świętą cierpliwość gdybyś miał tu,
Znudzony, drapniesz za Ararat;
W końcu uciszył rzeszę dziarską
Burmistrz powagą gospodarską.

Więc rzekł pan Idzi: „każdy czuje,
Że żyjem tu na wzór trapistów,
Więc projekt, który dziś wysnuję,
Nie spotka zda się, sykań, świstów.
Krótkiemi słowy: proponuję,
Aby założyć klub cyklistów.
Może mieć Capów, co ma Łowicz,
Wskazówki da pan Turystowicz!“

„Brawo!“—krzyknięto—doskonale!“
I każdy w uśmiech twarz przyodział,
„Ale gdzie Jasio?“ „Nie ma wcale!“
„Pan Turystowicz gdzie się podział?“
„Chyłkiem opuścił widać salę!.“
„A niechaj że go bije sto dział!
I wnet jak lotna rzesza ptasia
Mknęła gromada szukać Jasia.

IV.

Zapał sportowy przerywa zapał miłosny.

Jaś znalazł sobie lepszy kąsek,
Niżli przy pełnym siedzieć dzbanku:
Czar młodych dziewcząt vulgo gąsek,
Miłe uczucia budził w Janku,
Wyrzekł się trunków i przekąsek
I razem z Brońcią siadł na ganku.
Mając do pięknych marzeń jazdy:
Wiosnę, noc, księżyc oraz gwiazdy.

„Pani—rzekł Jasio jaknajmilej—
Tyś moją duszę wzięła całą;
Kiedym cię ujrzał—od tej chwili
Rozkoszniej serce me zadrżało;
Próżno się mowa do słów sili,
Na ogrom uczuć słów zamało—
Zrobię wyznanie w krótkiem słowie:
Poznałem miłość tu w Capowie.

„Byłaś mi w ciasnej kozy celi
Wybawicielką i pociechą.
Teraz się dusza ma weseli,
Kiedy pod swoją siedzę strzechą;

Musisz być dobrą, jak anieli,
  Więc krzyczę „kocham!“ — a niech echo
Po wszystkich stronach to roznosi
  I moją miłość światu głosi.

„Panie—wyrzekła Brońcia z strachem—
  Tak głośno krzyczeć... ach, nie można!
Dopóki jesteś pod tym dachem
  I jesz w tym domu pieczeń z rożna.
Niechaj nas miłość swym zapachem
  Poi zdaleka i z ostrożna—
I niechaj uczuć tych nie widzi
  Konkurent mój, pan Kleksik Idzi...“

„Konkurent!.. kto?.. ten strach na wróble?!.
  O nie dopuszczę póki żyję!..
Pierw w atramentu skąpię kuble
  Jego wychudły kark i szyję!..
Zrobię karambol albo dublę
  I ciebie jemu wnet odbiję,
Bo czuje serce me niekłamnie,
  Żeś ty stworzona tylko dla mnie!

„Posłuchaj!... rower się wybierze
  Jakiej najlepszej w świecie marki,
Trzymając piękną dłoń przy sterze,
  Poznasz maszyny tej bieg szparki,
Potem pomkniemy na rowerze
  W odległe świata zakamarki
I nie pochwyci nas w swe łapy
  Półsenny strażnik twego papy“.

Z wybuchem skończył zwrot o straży,
  Aż się zaperzył i zasapał,

Brońcia rozkosznie, widać marzy,
Snać ją pochwycił Jasia zapał:
Rumieńce barwne ma na twarzy,
A w tem ją w pół cyklista złapał
I przybił (ach, to głowa pusta!)
Pieczęć całusa na jej usta.

Krzyknęła Brońcia: „Co pan robi?
(W krzyku nie drgała złości gama)
Ach!.. mnie panieńska skromność zdobi,
A tu zobaczy wszystko mama —
Ze wstydu na pustynię Gobi
Gotowam powędrować sama...
Kto słyszał robić takie zbytki!.
Niedobry jesteś pan i brzydki!..“

„Niedobry“, „brzydki“ z ust kobiety
Inaczej znaczy w naszych czasach—
Znaczy: ty miłe masz zalety,
Ja cię wyróżniam w chłopców masach,—
Jaś znał kobiece te sekrety
(W flircie się kształcił na Dynasach)
Więc go ten zwrot, jak cios nie przeszył,
Przeciwnie: wzruszył i ucieszył.

Nagle krzyk powstał za plecami
(Jaś z przerażenia stał się blady)
„To ty tu bawisz się z damami,
Gdy my tam mamy ważne rady!..
Musisz posiedzieć teraz z nami,
Wysłuchać przemów i tyrady,
Postęp na naszej kwitnie grzędzie:
W Capowie klub cyklistów będzie!

„Tak! tak! krzyknęły głosy cztery—
„To pomysł świetny!.. kapitalny!..
Jutro sprowadzi żyd rowery,
Potem zrobimy rekord walny!..
I znowu wzrosły huczne szmery,
Aż krzyknął jakiś głos tubalny:
„Jaś niech prowadzi interesa,
Jego bierzemy na prezesa!“

V.

Walne narady na rynku.

Gwarno w Capowie jest na rynku,
  Zaszedł fakt jakiś widać rzadki;
Tu, owdzie stoi tłum w ordynku,
  Porozdzielany na gromadki,
Języki ludzkie bez spoczynku
  Pędzą jak cykl po drodze gładkiej,
Skupione mózgi i uwaga,
  A gest zaś słowom dopomaga.

„Słuchajcie—wyrzekł stary Mowsza,
  Honorowana tam osoba,
(Każda wieść świeża i najnowsza
  Do jego najpierw biegła żłoba)—
„To nie jest wcale rzecz najzdrowsza,
  Lecz z przeproszeniem to choroba.
Żeby kto mógł mieć tak źle w głowie,
  Jak ci panowie tu, w Capowie“.

„Ja idę dzisiaj do „jednego“,
  Żeby odebrać trochę raty,
A w tem na rynku do mnie biegą
  Capowskie dwa arystokraty:

Oba pisarze od sędziego
  I krzyczą: „chcesz mieć zysk bogaty?
To nas posłuchaj, mój Hantower,
  Jedź do Warszawy przywieźć rower!“

„Rower?.. ja nie wiem, co to znaczy,
  Ja nie handluję z tym towarem;
W mym sklepie tego nie zobaczy,
  Handluję z naftą, z mydłem szarem—
Mogę handlować też inaczej,
  Swem doświadczeniem wsparty starem,
Lecz najważniejsza rzecz jest w gruncie,
  Jaki zysk może być na funcie?

Jeden z nich spojrzał z okiem wściekłem:
  „O głupia głowo!“—rzekł te słowa—
Na to spokojnie mu odrzekłem:
  „Dla czego mam być głupia głowa?
Po co pan mowę robisz piekłem,
  Kiedy jest srebrem ładna mowa—
Niech pan pomówi ładnie z Mowszem,
  A może powiem mu i owszem.

„Rower to przyrząd jest ciekawy,
  Nie mydło, ani ośla skórka,
Kiedy nań siądzie człowiek żwawy,
  Pędzi, nie pyta: dół, czy górka;
Na nim, pamiętasz? pan z Warszawy
  Przejechał kiedyś wam bachórka....
„Gewałt!.. wrzasnąłem w wielkim krzyku,
  Nie mów pan o tym rozbójniku!“

„Niechaj ja stracę nos lub ucho,
  Niech mają wrogów moje dziatki,

Jeśli mu ujdzie to na sucho,
  Jeśli z tej sprawy wyjdzie gładki,
Ja mówię, że z nim będzie krucho—
  Tutaj jest sąd — my mamy świadki...“
„Dobrze, niech czart go gdzie chce niesie,
  My mówmy zaś o interesie!“

„Ny, taką mowę ja rozumiem
  I do niej wcale nie mam wstrętu;
O interesie mówić umiem,
  Jeżeli z tego jest procentu,
Lecz... w pokrewieństwie ze mną kumiem
  Jest Mordka... mieszka tu z zakrętu
Na lewo—mknę go przysposobić,
  On potrzebuje też zarobić“.

„Czekaj! wstrzymaj się z swą ochotą!.
  Po co tak spieszysz się, warjacie!
Niechaj zarabia, mniejsza o to!
  Później ze sobą pogadacie,
Teraz pamiętaj: przed sobotą
  Rowery każdy z nas w swej chacie
Bezwarunkowo mieć już musi,
  Inaczej—niech was kolka zdusi!“

„Ja nie rozumiem tego w sobie,
  Panowie macie zwyczaj brzydki,
Zaraz gadacie o chorobie,
  Czego nie lubią słuchać żydki.
Nieładnie mówić w tym sposobie
  Nawet przez żarty albo zbytki,
Bo z przeproszeniem... bez hałasu:
  Po co to wołać wilka z lasu?

„Panowie dacie mi gełd bares
  I siojn!. skończona polityka.
Kiedy jest pełny pugilares,
  Wtedy nieufność wszelka znika,
Nie mówię: „mane, tekel, fares“
  Wypisać ręką komornika.
W dwóch słowach skończy się gawędę,
  Panowie radzi—ja rad będę.“

„Nie będziesz skarżył się przed światem.
  To pewne jak dwa a dwa cztery;
Tylko pamiętaj: przed sabatem
  W Capowie muszą być rowery—
Dostaniesz ruble dziś—a zatem
  Żegnaj nam, druhu wierny, szczery!..“
Poszli—a ja wam wyznać muszę,
  Żem miał wesołą dosyć duszę.

Szedł pan Barnaba o dwa kroki
  I jak odmierzył, rzekł to samo,—
O rower doktór (ten wysoki)
  Prosił, spotkawszy mnie przed bramą
I pan Jacenty pięknooki,
  Co szedł ze swą bogatą mamą;
Słowem, że aż się na śmiech bierze:
  Wszyscy mówili o rowerze.

Gdy jedno mówią i tu i tam
  I w jednakowym słów doborze,
To ja zdaleka zaraz czytam,
  Że z tego zyski się wyorze;
Więc ja was radzę się i pytam,
  Jaki być na tem procent może?
Powiedzcie (lecz bez gwałt i skweres)
  Czy wy widzicie w tem interes?

Na to magiczne mądre słowo
  Krzyk się na całej zrobił linji;
Ten to powiada, tamten owo,
  Inny gorące gesty czyni:
Ów rusza ręką, tamten głową.
  A każdy myśli o swej skrzyni
I pragnie tego najgoręcej
  Wyciągnąć z drugich jaknajwięcej.

Dość długo rynek brzmiał szwargotem,
  I wrzawą, jakiej nie znał pewnie,
Aż pies, co drzemał gdzieś pod płotem,
  Zbudzony począł warczeć gniewnie,—
I rozeszli się wszyscy potem.
  Dłonie ścisnąwszy sobie rzewnie,
Bo uradzili w tej rozmowie,
  Że cyklizm będzie kwitł w Capowie.

VI.

Co było w cyklodromie, a co w trening-budzie.

Tout Capów przeszło od tygodnia
  Puszczał cyklowe w ruch pedały;
Trening odbywał się tam co dnia
  Za miastem na polance małej
I widać, że ten sport odmłodnia,
  Bo każdy w duszy czuł zapały,—
Pedałowali jeźdźcy liczni
  Coraz, co chwila energiczniej.

Każdy, kto tylko się szanował,
  Sprowadzał rower jakiejś marki:
Filister, rentjer i konował,
  Kamienicznicy i pisarki—
Jan Turystowicz tryumfował
  Urząd prezesa wziął na barki,
Z gestem wyniosłym, miną dziarską,
  Rządząc drużyną swą kolarską.

Pyszny to widok był zaiste
  Różnego wieku miejskich tuzów,

Mknących na cyklu przez skaliste
  Tory—w pończochach bez rajtuzów,—
Możnaby długą spisać listę
  Sińców, zadrapań oraz guzów,
Których od losu każdy doznał,
  Nim z równowagą się zapoznał.

Ten przy wsiadaniu robi kozła,
  Temu przy sterze się nieszczęści,
Ów upadł w biegu (dola to zła!)
  I stłukł dotkliwie sobie pięści,
Tamtego werwa znów zawiozła
  Na kamień i zbił inne części....
Nie licząc drobnych w stroju dziurek,
  Był ofiar sportu długi sznurek.

Pan Jan miał wielki guz na udzie,
  A na piszczeli była rana,
Pan Piotr, w sportowym tonąc trudzie,
  Zdarte ze skóry miał kolana,
Pan Idzi jęczał w trening-budzie,
  (Była to szopa z gont zbijana,
Gdzie w czasach, gdy się chmurzy, błyska,
  Owce szukały przytuliska).

Dziś miał się odbyć popis właśnie,
  Co było tu zjawiskiem nowem,
W pamięci pewnie on nie zgaśnie,
  Dopóki Capów jest Capowem,
Potomność może między baśnie
  Włoży to, gardząc naszem słowem,
Lecz fakt, że miał dziś odbyć popis
  Jaś (znacie jego już rysopis).

Jak mistrze dzielni i najszczersi
Szedł pełen gracji i powagi;
Szereg medali zdobił piersi,
W których cokolwiek było blagi,
Lecz za to niżej z braku *jersey*
Mógł każdy widzieć nóg kształt nagi
I mógł bić brawo za muskuły
Każdy, kto ma wdzięk męzki czuły.

Wskoczył na rower jak sarenka
I jako strzała mknął w przestrzeni,—
Znać, że ten sportsman się nie lęka
Psów, ni wyboi ni kamieni;
Niejedna dama i panienka
Wzrok za nim słała z pod rzęs cieni
I z ust niejednej Mani, Ludki
Biegł „ach“ przeciągły lub „och“ krótki.

Jechał Jaś wzorem dzielnych mistrzy,
Choć się na tor capowski zżymał;
Z początku wolno, potem bystrzej,
Chwilami za ster się nie trzymał—
Nareszcie (język nie najczystszy
Ale sportowy): *ostro dymał*,
Puścił pedały pośród drogi
I po nad nimi oparł nogi.

Strzegąc się górek i wydrążeń,
Z wytkniętej linji swej nie zboczył,
Zrobił na torze sto okrążeń,
Sto razy cyklem krąg zatoczył,
Nareszcie gdy już był na sążeń
Od publiczności miejsc—zeskoczył,
Lecz jak zeskoczył!. wszyscy ławą
Jak jeden mąż krzyknęli: „brawo!“

Długo klaskano w całem gronie
  I wiwatami darto gardła;
Dziw, że nie spuchły od braw dłonie,
  Struna głosowa się nie zdarła.
Jasio dziękował im w ukłonie,
  Jak trzeba, nie miał miny karła,
Krzyczanoby tak wciąż, jak w lesie,
  Lecz ktoś rzekł gromko: „Uciszcie się“.

Przed publicznością wnet na czele
  Stanął poważny obywatel,
W oczach mu blask lśnił i wesele,
  Cały rumiany jak rostbratel,
Strój czarny był, zaś kamizelę
  Uszytą z barwnych miał brokatel,
Był to Imć Jacek, w mieście znany,
  Pan kamienicy murowanej.

Imć Jacek mówił: „Cały Capów
  Ma rozrzewnienia łzy na rzęsie,
Od niskich piwnic do pułapów
  Wszystko się z uczuć dla cię trzęsie,
Dałbym każdemu sto harapów,
  Ktoby chciał mówić w innym sensie,
Kochając przeto cię najszczerzej,
  Chcemy cię uczcić, jak należy.

W skupieniu więc najuroczystszem
  Za sposób jazdy tak mistrzowski,
Zamianowaliśmy cię mistrzem
  Na cały powiat nasz capowski.
Ot, żeton (srebrem jest najczystszem,
  Na nim prawdziwe złote głoski)
A tutaj dyplom,—twa nagroda,
  Niech najpiękniejsza z pań ją poda.

Znów zamieszanie,—bo w dam gronie
  Każda być chciała najpiękniejsza.
Piękność od wieków w dobrym tonie,
  Więc i chęć owa nie dzisiejsza.
Ta krzyczy, tamta gniewem płonie
  I gdy się wrzawa nic nie zmniejsza,
Ten, co miał świetną wziąć nagrodę,
  Zginął tymczasem — jak wpadł w wodę.

Nic jednak złego się nie stało,
  Nie zemdlał po sportowym trudzie,
Lecz pogardzając wrzawą całą,
  Nie chcąc w wiwatów tonąć nudzie,
Chyłkiem polanką przebiegł małą
  Do trening-budy, i (o cudzie!)
Tam przytuloną w cichym kącie
  Znalazł stojącą piękną Brońcię.

Jak błyskawice w pełnej sile
  Skrzyżowały się dwa spojrzenia,
Bez słów, bez ruchu, długą chwilę
  Stali naprzeciw wśród milczenia,
Aż wnet jak płoche dwa motyle
  Zbliżyli ramię do ramienia,
W uścisku splotły im się dłonie:
  „O ty mój mistrzu!“
    „Mój żetonie!“

VII.

Zranione serce p. Idziego.

Słońce po całonocnej nudzie
  Wyjrzało, wieszcząc piękny ranek;
Już się zaczęli budzić ludzie,
  Patrząc przez okna z za firanek;
Tutaj koń ciągnął furę w trudzie,
  Tam sługa niosła wody dzbanek,
Tu kupiec czekał na interes,
  Bo rankiem najhojniejsza Ceres.

Panna Walerja z panną Martą
  Wracały właśnie już z kościoła;
Zaledwie kościół pół otwarto,
  Już tam chyliły kornie czoła,
Prosząc, by skarał Bóg upartą
  Panią radczynią — wiedźmę zgoła,
Co z niemi w walce nieustannej
  I zwie ich: „wściekłe stare panny!“

Były to święte dwie postaci
  Z tych, co się modlą pod figurą,
Język ich długość miał połaci,
  Ostry był jak krytyka pióro,

Pobłażliwości dla swej braci
  Nie miały, patrząc się ponuro
Na świat. Stąd srogość ich wyroku
Na źdźbła najmniejsze w bliźnich oku.

Ich wzrok miał bystrość czujnej kotki
  I nic się przed nim nie ukryło,
Usta, choć miały wyraz słodki,
  Władały zjadliwości siłą,
Najlżejsza plotka, pozór plotki,
  Była im rzeczą nader miłą,
A zaś skandalik jaki szpetny
  Stanowił dla nich deser świetny.

Mknąc we dwie, kłuły niby igłą
  Śpiących mieszkańców cnego miasta;
Ze zjadliwością niedościgłą,
  Jaką ma takich sfer niewiasta,
Wszystko, co się przed wzrokiem migło
  Gryzły, jak żmija ogoniasta,
Nagle przerwały swe zajęcie:
  Idzi się zjawił na zakręcie.

—Chodźmy—wyrzekla panna Marta—
  Bo trzeba przecież mu powiedzieć,
Cała historja ta coś warta,
  Może kto inny nas uprzedzić,
Już wzniosła miłość jego starta:
  Ot, to się będzie gryźć i biedzić!“
Spostrzegły wreszcie, że je widzi,
  Rzekły: „dzień dobry, biedny Idzi!“

Pan Idzi zrobił ruch bezwiedny,
  By się ukłonić, jak przystoi,

Bo choć jest względem dam wybredny,
  Ale ma grzeczność w duszy swojej;
Chce się zapytać, czemu biedny,
  Lecz się zapytać o to boi,
Bo wie, że te chodzące cnoty...
  Prognostyk plotki lub zgryzoty.

One jak działo na wyłomie
  Jęły mu strzelać bez pytania:
„Już i po pańskiej dziś oskomie!
  Szkoda! dziewczyna jest jak łania!
Nie wiesz, co było w cyklodromie?
  Miłość się panu ładnie kłania...
Nie wiem czy żyjesz gdzie za lasem?
  To cały świat już wie tymczasem!

Eh! po co prawdę kryć w pokrowce!
  Powiem, a mowa będzie krótka:
Wiesz, gdzie się dawniej kryły owce,
  Gdy grzmiała burzy z chmur pobudka?
Twa Brońcia zeszła na manowce,
  Była tam sama z nim, samiutka...
Z kim? Cóż się patrzysz okiem takiem!
  Z kimżeby?.. No, z tym Warszawiakiem!“

„O! to zanadto!—krzyknął Idzi—
  Jak jestem Idzi, nie daruję!
On sobie ze mnie drwi i szydzi,
  Zbiję, posiekam, zrąbie, struję!..
Ja ją kochałem tak, Bóg widzi...
  Ach, warszawiacy to są zbóje!
A panie, weźcie uścisk ręki,
  Za słowa prawdy dzięki... dzięki!“

To rzekłszy, w uczuć zawierusze
Biegł do krańcowej grodu strony,
Nie czuł, że sprawia bruk katusze,
Bruk małomiejski osławiony,
A dwie pobożne słodkie dusze
Rozwarły dzioby swe, jak wrony
I rzekły, widząc jak on macha:
„A to go wzięło! ha! ha! ha! ha!...“

VIII.

Co się działo u Jasia.

Jaś, chociaż zrazu nie miał w głowie,
  By życie spędzać w dzikiej głuszy,
Na dobre osiadł już w Capowie
  I czuł, że nic go stąd nie ruszy.
Wikt mu tutejszy szedł na zdrowie,
  Brończa przypadła mu do duszy,
Miasto zaś czciło najgoręcej,
  Czegoż więc było żądać więcej.

Leżał Jaś, pełen dum refleksji,
  O Brońci myśląc,—na kanapie,
Myślał o serca jej anneksji,
  Co dotąd snem dziewiczym chrapie;
Na męża dobrej był kompleksji,
  Więc się oświadczyć łatwo papie,
Bez zwłoki—raz, dwa, trzy i basta
  Zostać poważnym „zięciem miasta“.

Lecz „ojciec miasta“ czy się zgodzi,
  Bo jest zarazem ojcem córy—
Że się kochają wzajem młodzi,
  To argumentów słabe mury.

Tu się zasępił nasz dobrodziej
  I zrobił trochę wzrok ponury,
Bo odpowiedzi w myśli szukał,
  Gdy nagle do drzwi ktoś zapukał.

„Proszę“—Jaś wyrzekł, a zaś w duchu
  Dodał: „bodajeś zwichnął pięty!...“
W tej chwili wszedł ktoś—miał przy uchu
  Pejsami zwany, zarost kręty,
A wraz z nim weszło moc zaduchu
  Z cebuli, bo gust niepojęty
Czy to z potrzeby, czy zwyczaju
  Ma do niej część ludności kraju.

„To pan przejechał mi Jankielka—
  Gość mówił, jam jest jego tatą;
Szkoda zrobiła się niewielka,
  Pragnę przeprosić pana za to,—
Ja nie chcę dostać ni rubelka,
  Niech pan nie martwi się mą stratą,
O sądzie też nie będzie mowy,
  Bo pan jest człowiek honorowy.

I ja co panu powiem *jeście:*
  Może pan chude ma kieszenie?
Chcesz pan sto rubli? Może dwieście?
  Ja dam i dwieście, na sumienie!
Mnie tutaj znają w całem mieście
  I moje słowo mają w cenie...
Ny, trzysta dam—nie zmrużę powiek,
  Bo ja uczciwy jestem człowiek“.

Słuchając, Jasio myśli skupiał,
  Ale zdumienie wciąż nim miota;

Przy pierwszych słowach już osłupiał,
  Jak biblijna żona Lota,
Przy końcu mowy całkiem zgłupiał
  Widząc, że tego nie rozmota,
Skąd mąż ów, dawniej tak zuchwały,
  Teraz o kieszeń jego dbały?

Mąż mówił: „No, mam dać? i kiedy?
  Jutro, dzisiaj dam zarówno;
Ze mną nie będzie pan miał biedy,
  U mnie uczciwość cnotą główną—
Odda mi pan z procentem wtedy,
  Gdy się ożeni z burmistrzówną...“
Chciał mówić dalej, gdy tymczasem
  Drzwi otworzyły się z hałasem.

Wpadł niby *Deus ex machina*
  Idzi, choć mało znany zbliska,
Okropną była jego mina,
  Zdało się, z oczu gromy ciska.
Jaś chciał zapytać, gdzie przyczyna
  Niespodzianego tak zjawiska,
Lecz ledwie podniósł twarz swą bladą,
  Gość mu objaśnił słów kaskadą.

„Tak?!...—wrzasnął stary ten lowelas—
  Ty z burmistrzówną chcesz się żenić!
Wybieraj: pałasz, czy kordelas,
  Albo swój zamiar musisz zmienić.
Dam ci nauczkę, żebyś nie lazł,
  Gdzie nie umieją sportu cenić,—
Jak jestem Idzi, nie daruję:
  Zbiję, posiekam, zrąbię, struję!

„Zaraz trjumfy twoje zbledną,
  Kiedy w opałach będzie życie,
Choć umiesz pannom trafiać w sedno,
  Lecz pewnie tchórza masz podszycie—
Będziem się strzelać!... Wszystko jedno,
  Czyli o zmroku, czy o świcie!
O!... znam ja takich jak ty frantów!
  Dziś jeszcze przyślę sekundantów!...“

„A dajże mi pan święty pokój!
  Huknął Jaś groźnie, z siłą młotka,
Amory swoje, gdzie chcesz lokuj
  I niech cię jasny piorun spotka!
A śmierci mi też nie prorokuj,
  Bo będzie dola twa niesłodka!...
To gwałt, to napaść niesłychana,
  Biorę na świadka—tego pana.“

Lecz tego pana już nie było,
  Zniknął nieborak, jak kamfora,
Woń prochu dla tych jest nie miłą,
  W których odwaga niezbyt spora.
Z wrodzoną rasie owej siłą
  Lufa ma dla nich kształt potwora
I z bronią w wstręcie są dozgonnym,
  Jeśli nią walczą—to z bezbronnym.

IX.

W obliczu śmierci.

Po energicznym swoim czynie
  Popędził Idzi jak szalony;
W głowie szumiało mu jak w młynie,
  W uszach huczały wszystkie dzwony.
Zdawało mu się, że już ginie,
  Że jest przez Jasia postrzelony,
Lecz obiegł miasto z wszystkich kantów.
  Aby wyszukać sekundantów.

Nie było chętnych do tej roli,
  Każdy wykręcał się jak żmija:
Jednego gardło strasznie boli,
  Drugiego znowu grzbiet lub szyja,
Tamtemu żona nie pozwoli,
  A temu ranny chłód nie sprzyja,
Ów zaś z podobnych rozpraw szydzi—
  W wielkim kłopocie był pan Idzi.

Po długich trudach znalazł wreszcie:
  Podjął się sprawy „piękny Henio“.
Henia ceniono ongi w mieście,
  Gdy jeszcze z pełną był kieszenią,

Dzisiaj przy wzgardy lekkim geście
  Mówią tu o nim i—nie cenią.
I słusznie: czemuż tak się bawił,
  Że nic z trzech wiosek nie zostawił.

Henio człowieczek był uczynny,
  Nie pozbawiony również zalet:
Ongi z wymowy słynął płynnej,
  Lubił śpiew, karty oraz balet,
Dziś cenił tylko ekstrakt winny,
  Skromnie do ludzkich pukał kalet,
Więc się Idziemu służyć w polu
  Podjął za miarkę alkoholu.

Idzi, skończywszy to zajęcie,
  Znużony poszedł do mieszkania,
Dwakroć wykręcił się na pięcie
  (Taka rozrywka bowiem tania),
Poczem stalówkę w atramencie
  Umaczał i—siadł do pisania.
Choć był do pióra pełen wstrętu,
  Siadł do pisania—testamentu.

Czuł jednak, że myśl jego mglista
  Niewiele w sobie sensu kryje,
Więc mruknął gniewnie: „djabłów trzysta
  Nadało całą głupią chryję!
Kto wie, a może ten *wściekIista*
  Jeszcze naprawdę mnie zabije,
Kula mnie z tego świata sprzędzie —
  I pytam się, co wtedy będzie?...“

Tak snując smutnych myśli wątek,
  Sporządzał swą ostatnią wolę;

Obliczył ściśle swój majątek
I przerachował swe obole,—
Lecz kiedy doszedł do pamiątek,
Bruzda wyryła się na czole.
Żal mu zrobiło się tej straty,
(Pamiątki były to—krawaty).

Wydobył najpierw krawat w kratki
I westchnął, jak kowalskie miechy:
„Pamiętam, miałem go u matki
Tej ładnej Mani z Wielkiej Strzechy;
Mania, mi wtedy dała kwiatki,
Słaliśmy sobie z ust uśmiechy...
Ona stworzeniem była miłem,
Czemuż się z nią nie ożeniłem!...

Albo ten znowu... o, ten szkocki...
Pamiętam, wtedy był Popielec,
Przypinaliśmy sobie klocki...
Przed Zosią trudno było nie ledz,
Alem ja pomysł miał huncwocki,
(O!... bo też ze mnie był wisielec!).
A ona była to pokusa,
Więc nie dziw, żem jej skradł całusa".

Tak po kolei brał krawaty,
Z których doń woń wspomnienia wieje,
Plastrony, szlipsy i regaty
(Więcej technicznych nazw nie skleję)
W nich każda kropka, kratki, kwiaty
Przypominały dawne dzieje—
Aż umęczona żalem dusza
Wpadła w objęcia Morfeusza.

X.

Nie zawsze ten śpi, co ma oczy zamknięte.

Nazajutrz już o wczesnym świcie
Smutny pan Idzi wyszedł z domu,
Poszedł narażać swoje życie
Za miasto koło cyklodromu.
Otwarcie mówiąc, wzdychał skrycie,
Bo bał się trochę śmierci gromu...
I jeśli wyrzec w prawdzie nagiej,
Żałował zbytniej swej odwagi.

Przy boku miał pięknego Henia,
Co słowem mu dodawał ducha;
Lecz Idzi słuchał od niechcenia,
Co tamten szeptał mu do ucha
I wciąż doznawał w sobie drżenia,
Chociaż nie była mowa sucha
I ciągle blady był jak płótno,
Mając jednako minę smutną.

Może—przemawiał Henio czule—
Cofnie się jeszcze wróg sławetny,
Lub może ty mu sprawisz bóle
I zadasz bronią ciosik szpetny...

No, a gdy ciebie wezmą kule,
  To ci sprawimy pogrzeb świetny...“
Tu Idzi wrzasnął budząc echo:
  „A idź do djabła z swą pociechą!“

Jaś też wstał z łóżka wczesnym rankiem,
  Nie czekał na budzenia czyje,
Wylewał wodę pełnym dzbankiem,
  Na głowę swoję, grzbiet i szyję;
Był dzisiaj zwykłym sobie Jankiem,
  Nucił: „gdy siódma rano bije.“
Myśl smutna nie szła mu do głowy—
  Tak to hartuje sport cyklowy.

Na plac z pod domu swego dachu
  Mknął jak przystoi—na rowerze.
Rower nie budził już przestrachu,
  W Capowie w żadnej ludzi sferze.
Nie obawiając się więc krachu,
  Trzymał odważnie dłoń przy sterze,
Jechał, puściwszy w ruch pedały
  I pewny siebie i zuchwały.

Na placu wszyscy już zebrani
  I wybierali właśnie miedzę,
Wnet urządzono metę na niej
  (Henio powierzył to koledze).
Był też Szmul, felczer, który w dani
  Medyczną przybył złożyć wiedzę,
Lecz trząsł się niby w febrze szczerej
  Jakby sam stać miał u barjery.

Henio wystąpił wnet z przemową,
  Bo krasomówstwa miał obficie;—

Rzekł, wyłuszczywszy rzecz *ab ovo;*
„Może się z sobą pogodzicie?
Pomnijcie na me skromne słowo,
Że tu możecie stracić życie.
Nie? nie podaje żaden dłoni?
Nie ma co zwlekać! Więc do broni!...“

Gdy skończył zwrotem do przyjaźni,
Ruch się w zebraniu zrobił całem,
Bowiem ujrzano najwyraźniej,
Że ktoś z orszaku zmyka cwałem,
Koń się przy takim biegu zbłaźni
I tempo cykla przy nim małem,
Tak zmykał, nie żałując kości,
„Doktór“ Szmul, od swej powinności.

„Co—wyrzekł Henio—mniejsza o to!
Niechaj ucieka golibroda!
Ale, panowie: czas to złoto,
Więc go napróżno tracić szkoda....“
Stanął więc Idzi, Jaś z ochotą,
Gdy nowa zjawia się przeszkoda,—
Przeszkoda, silna w swym uczynku,
Grożąc zerwaniem pojedynku.

Był to ów strażnik, półdrzemiący,
Na czele kilku miejskich stróży—
I rzekł do rzeszy, gniewem wrzącej:
„Tutaj nie można zostać dłużej!
A więc, panowie... co robiący...
Zabierajcie się do podróży,
Będzie sąd z tego, może łozy,
Tymczasem wszyscy... marsz do kozy....“

Próżno się Henio w gniewie miota,
  Krzycząc, że fakt ten upamiętni,
Próżno Jaś krzyczy: „to hołota!...“
  I drą się inni z nim—namiętni,
Strażnik półsennym wzrokiem kota
  Spogląda jaknajobojętniej;
Muszą do miasta mknąć granicy
  Z sekundantami zapaśnicy.

XI.

Numa wychodzi za Pompiliusza.

Szli pod eskortą silnej straży,
  Mierząc krokami miejskie bruki;
Pan Idzi radość miał na twarzy,
  Że go minęły z broni huki,
Nie widział smutnych już miraży,
  Nie chciał Jasiowi dać nauki,
Zawziętość poszła już do djabła,
  Miłość do Brońci też osłabła.

I Jasio nasz pojedynkowe
  Porzucił całkiem myśli płoche,
Lecz szedł, zwiesiwszy na dół głowę,
  Jak wół, ciągnący ciężką sochę,
Bo czuł, że przez historje owe
  Pozycja jego śmieszna trochę,
A śmieszność strąca nie pomału
  I bohaterów z piedestału.

Gdy tak przytarła władza rogów
  Do walki nie miał nikt pokusy—
Z strasznego gniewu obu wrogów
  Zostały tylko lekkie fusy;

Wiodąc ich do ratusza progów,
  Strażnik coś szeptał: „Ot, fokusy!“
I smuciła go ta rzecz drobna,
  Że, idąc, drzemać niepodobna.

Krocząc, podobni jakimś dziadom
  Przybliżyli się do ratusza,
Jaś, jako już rozkładu świadom,
  Wnet do komórki śmiało rusza,
Lecz stanął w poprzek jego śladom,
  Strażnik, wyrzekłszy: „nie tu, dusza!...
Nie drżyjcie bardzo o swą skórę,
  Bo burmistrz prosi was na górę!“

Wchodzą na górę—nowe dziwo:
  Stół zastawiony w kształt podkowy,
Trunki, zakąski i mięsiwo,
  Co tylko może przyjść do głowy.
Henio dla brzuszka uczuł żniwo
  (Z dawnych lat został mu spust zdrowy),
I myślał, widząc to śniadanie,
  Komu dziękować trzeba za nie.

Wtem weszła Brońcia ładna, miła,
  I Jaś uścisnął ją za ręce—
„Czyżbym ci—rzekła—pozwoliła
  W pojedynkowej ginąć męce!
Pod moją władzą zbrojna siła,
  (Strażnik posłusznym jest panience),
Z mego rozkazu on tam chodził
  I w pojedynku wam przeszkodził.“

To rzekłszy, wzięła bohatera
  I z nim chodziła w różne strony,

Z buzi jej radość biła szczera,
Gdy rzekła: „to mój narzeczony!...“
„Vivat!“ „Niech żyje!“ et cetera
Krzyczał tłum gości zgromadzony,
Jeden Jaś tylko w owej wrzawie
Był tak jak gdyby śnił na jawie.

Tymczasem nadszedł „ojciec miasta“
Razem z poważną miasta mamą;
Jedwabna suknia ogoniasta
Wlokła się za tą pełną damą,—
Burmistrz, choć nigdy się nie szasta,
Świątecznie strojny był tak samo,
Łza rozczulenia z ócz mu leci,
Aż wyrzekł drżąco: „drogie dzieci!“

„Wiem, że oddawna się kochacie,
Widać to zaraz z waszej miny,
Przeto się dzisiaj w mojej chacie
Odbędą wasze zaręczyny.
Jasia umieszczę w magistracie,
Niech będzie sławnym przez swe czyny,
Niechaj pomnoży me zasługi...“
Tu chlusnął łzami, jak ze strugi.

Na dane przez burmistrza hasło,
Każdy pod sercem uczuł kłucie;
Wszystko, co żyło, płaczem wrzasło,
Płaczem, o bardzo rzewnej nucie,—
I tylko w Heniu nie zagasło
Praktycznych życia stron poczucie:
Przerwał ogólne wszystkich łkanie
Słowami: „proszę na śniadanie!“

Tedy za stoły wszyscy siedli
  I każdy się w żołądek wcielił,—
Ci mięso, tamci śledzie jedli,
  Inny zaś trunkiem się weselił;
Panie zabrały się do knedli,
  Likier humoru im udzielił,—
Wśród kawalerskiej owej stypy
  Płynęła werwa i dowcipy.

Powstał pan Tomasz, zwany „grandem“
  I wyrzekł: „drogi panie Janie!
Gdy na małżeński siadasz tandem,
  Trwać w kawalerskim nie chcesz stanie,
Pomnij, że to nie jazda landem,
  Trudna to rzecz pedałowanie,
Przeto ci radzę tutaj szczerze
  Pedałuj sam, sam bądź przy sterze!

Niech ci nie pęka żadna szprycha,
  Bądź jako rower dobrej marki,
I niechaj nigdy nie wysycha
  Oliwa z twojej oliwiarki,
W dzień niech cię jazdy chęć popycha,
  W nocy nie szukaj też latarki!
Kwitnąc w sportsmańskiem swojem zdrowiu
  Bądź każdej chwili w pogotowiu.

Przy cyklodromu czuwaj furcie,
  Bądź zawsze gotów na rekordy,
Chodź w cyklistowskiej swojej kurcie,
  W której wyglądasz tak jak lordy,
Nie forsuj się w zbyt silnym spurcie,
  Jak nieopatrznych czynią hordy,
A niezadługo—wierz gawędzie—
  Kwadruplet ci potrzebnym będzie!“

Płynął tak toast po toaście,
  Życzeń nie zdoła nikt wyliczyć,
Rozweseleni wszyscy aście
  Zaczęli parze szczęścia życzyć.
Gardeł rozwarły się przepaście,
  Jeden drugiego chciał przekrzyczeć—
Idzi też pozbył się frasunków;
  Taka to błoga siła trunków.

I ja też razem z nimi byłem
  Przysłuchiwałem się gawędzie
I miód i wino smaczne piłem,
  W obywateli miejskich rzędzie,
A że o tem zdarzeniu miłem
  Pamięć w mem sercu zawsze będzie;
Więc opisałem temi zgłoski,
  Jak żył i działał mistrz Capowski.

